

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY

Landsberg N



NUMER 1 (15)/2025

ISSN 2657-5280

Dziewiąty lipca 2024 roku, godz. 07:53, ul. Szpitalna 10, 74-320 Barlinek

Słyszę Twój oddech. Siedzę tuż obok i trzymam Cię za rękę. Myślę o dobrych chwilach razem, ale pamięć jest szalenie wybiórcza. Z większą łatwością utrwała to, co złe. Wyciągam z kieszeni eliksir, flakon wypełniony wspomnieniami – Wspomnetkę. Jedno uderzenie serca później jestem już w innym miejscu, w innym czasie.

Zalane słońcem podwórze. Jestem ja, Ty, moi bracia i siostry. Jemy tanie, lodowe rożki. Patrzysz na nas jak wcinamy wafelki i zabawnie skarżysz się, że też chcesz taki, bo nie odwinęłaś do końca lśniący papierek i nie wiesz, że lody mają jako podstawę wafelkową rurkę. Niby nic, głupota, ale też ile mówi o kobiecie, która całe życie ciężko pracowała, odmawiając sobie przyjemności, nie wiedząc nawet, z czego składa się lodowy deser. Serce pompuje krew, a wraz z nią zawartość dozownika, przenoszę się do innego wspomnienia, jestem chyba później, albo nie, kilka lat wcześniej, widzę, jak leżysz w kuchni, a po twoim ciele wspina się mały, czarny kociak. Miał chyba ludzkie imię, Andrzej. Siedzę obok na krześle i widzę, jak źrenice kota rozszerzają się i zaczyna kiwać się na boki, szykując do skoku. W teatralnym przerażeniu prosisz, aby kot przestał tak robić, obawiając się ataku małego drapieżcy. Ze śmiechu trzymam się za brzuch. A potem mija kilka lat i przypominam sobie o tym kocie i lesie, i znowu robi mi się smutno. Substancja powoli przestaje działać, a ja utykam w tym ciemnym lesie, z którego mogę nie znaleźć drogi, tak jak przynajmniej raz udało się kotu. Wtedy, gdy sam wróciłem do domu, a ty kazałaś... Nieważne zresztą, muszę skupić się na swojej sytuacji. Rozglądam się i widzę ruch pomiędzy drzewami. Wołam, krzyczę, a w końcu biegnę w kierunku postaci, która ucieka co sił. Gdy doganiam uciekiniera i łapię go za ramiona, widzę, że mam przed sobą zgarbionego starca. Urywanymi zdaniami powtarza, żeby nie robić mu krzywdy, że maszyna się zepsuła, że w obliczeniach tkwił błąd. Gdy łapie oddech, rzuci jeszcze, żebym uważał, bo ucieczka w przeszłość przed przyszłością nie ocali mojej teraźniejszości. Już miałem zapytać go, czy postradał rozum, czy też czy ja postradałem, postradam... Sam już nie wiem, ale to nieważne, bo zanim się odezwę, cudowna substancja z flakonu zmetabolizuje się w całości i wszystko rozplynie się jak sen.

Wracam do teraz, słyszę, jak oddychasz. Myślę o wszystkich ważnych ludziach, których poznałem i o tym, że gdybym mógł cofnąć czas, spotkałbym się z Tobą, nie z nimi. Głupi ja z przeszłości. Zachłysnąłem się światem, zachwycony cudownościami planety Landsberg. Przyciągnięty przez jej orbitę zapomniałem o swojej stacji macierzystej. Wróciłem, gdy było już za późno. Żaden Lemchip tutaj nie pomoże.

Wiesz, jest taki starzec, Kołodziej, Ryszard Kołodziej. Mówi, że z nami, młodymi, to tak jest, że oczy mamy stale zwrócone ku przyszłości. Rzadko oglądamy się za siebie, za tym, co pozostawiliśmy. Mówi też, że jak dam mu zdjęcie, jakiś świstek, to on za mnie spojrzy i mi opowie o tym, co utraciłem. Może skorzystam, nigdy dość cierpienia.

Ale w tej chwili trzymam Cię za rękę, słyszę, jak oddychasz. Nie mogę wrócić, ale Ty dostaniesz swoją szansę. Podobno naukowcy stwierdzili, że gdy serce się zatrzyma, mózg potrafi pracować jeszcze przez siedem minut i odtwarza wspomnienia. Mam nadzieję, że to dobre wspomnienia. O chłopcu, który ogryzał wafelki z rożków i śmiał się na widok skaczącego kocięcia. I że gdy znowu tam będziesz, stwierdzisz, że tak właśnie powinno być, że nic byś nie zmieniła.

Pamięci mojej mamy, Heleny Sobkowiak (1956-2024)



Mariusz Sobkowiak, redaktor naczelny

Dryfowanie

Jan „Kocilla” Walaszek

Daniel sunął wzrokiem po resztkach estakady kolejowej, która majaczyła w oddali. Nie znosił tego miejsca. Wysokie piętra zrujnowanych wieżowców przypisywały go o mdłości. Przemierzając ulice można było wmawiać sobie, że to tylko tutaj jest źle, a za rogiem czeka stary, wspaniały świat. Natomiast z wysokości było widać wszystko. Posępne ruiny cywilizacji, częściowo utopione przez pozbawioną kontroli Wartę, częściowo pochłonięte przez mchy i bezkwienną roślinność, która próbowała przejąć kontrolę nad niegdyś istniejącym królestwem ludzi.

Przez pokątną wyrwę w ścianie wdzierał się nie tylko chłodny przeciąg, ale także świst, który skutecznie mógł zagłuszyć kroki. Daniel zdawał sobie sprawę, że równie dobrze mógłby być głuchy, nie usłyszałby nawet obładowanego plecakiem włóczykija, gotowego zedrzeć z bliźniego buty. Albo skórę. Domykał transakcję w tym miejscu już tyle razy, że zwyczajnie zobojętniał, a może to życie mu zobojętniało?

Z zamysłu wyrwało go potężne łupnięcie butem w resztkę drzwi, która z uporem maniaka trzymała się jeszcze na zawiasach. Mimowolnie zacisnął mocno pięść wokół rękojeści domowego noża, skleconego naprędcą ze starego drewna i złomu. Czuł, jak napinają mu się wszystkie mięśnie. W tym samym momencie obrócił się na pięcie w stronę, z której dobiegł hałas. Jednak zamiast zagrożenia, przywitała go znajoma sylwetka handlarza.

– Gdybym chciał, nawet nie zorientowałbyś się, kto cię dopadł – stwierdził, wsuwając dłoń głębiej w kieszeń znoszonej kurtki.

Wzrok Daniela podążył za ruchem ręki.

– Pewnie tak, bez różnicy – wzruszył ramionami. – Masz?

Przybysz skinał niedbale głową, po czym wyciągnął zawiniątko i beceremonialnie rzucił w kierunku klienta. Ten wyrwał do przodu, łapiąc go jak najcenniejszy skarb. Drżącą dłonią rozwinął starą ścierkę kuchenną, którą zabezpieczono towar. Przeleciał wzrokiem po fiolce. Przejechał palcem wzdłuż. Nic nie wyciekło.

Przysunął szklane naczynie bliżej oczu. Dla pewności wyciągnął je bliżej dziennego światła, które wpadało do pomieszczenia przez puste okiennice i wyrwy w ścianach. Delikatnie zakołysał dłonią, sprawdzając, jak niebieski płyn przelewa się w środku.

– Wygląda podobnie, ale... – urwał, nie do końca pewny swoich słów. – Było ciemniejsze. I, tutaj, widzisz? Jakby drobny pęcherzyk powietrza. Co ty próbujesz mi wcisnąć, Palacz?

Wywołanemu nie drgnęła nawet powieka.

– Najlepsza Wspom-netka, jaką dostaniesz w okolicy, prosto ze starych składów – wyciągnął rękę w kierunku fiolki. – Jak coś się nie podoba, mam nagranego drugiego kupca.

Nie miał, ale zdawał sobie sprawę, że ma przed sobą desperata. Tacy zawsze kupują.

Daniel zacisnął zęby. Przez ułamek sekundy bił się z myślami.

– Biorę – skinieniem wskazał na starą skrzynkę, schowaną częściowo pod kocem, leżącym na pociętym fotelu. – Tak jak zawsze. Konserwy i płat skóry. Ekstra. Za fatygę.

Nie było potrzeba więcej słów. Robili to dziesiątki razy. Tak jak zawsze, minęli się w milczeniu. Palacz nie mógł doczekać się posiłku z widokiem na pozostałości Gorzowa. Daniel z drugiej strony zbiegał po schodach, jakby od tego zależało jego życie. Tylko po to, żeby choć na chwilę cofnąć się w czasie.

Dotarcie na miejsce zajęło mu kilka godzin. Nim stanął przed starymi, pokrytymi rdzą drzwiami, zaczęło się ściemniać. Szarówka panująca na dworze idealnie komponowała się z odzieniami martwego miasta. Gdyby Daniel miał zobrazować sobie depresję, wyglądałaby właśnie tak. Widok ten zżerał jego zdrowe zmysły już od wielu lat.

Grzmotnął kilka razy pięścią w drzwi, jednak po kilku minutach nikt nie odpowiedział. Uderzył raz jeszcze, mocniej, o wiele bardziej nerwowo. Kolejne minuty, znów zapadła cisza. Uniósł pięść, by uderzyć z całej siły, nie zważając na popękana skórę dłoni. Nim przeszedł do czynu, rozniósł się zgrzyt metalowej osłony wizjera. Z półmroku typnęły na niego oczy pozbawione wyrazu.

– Czego tak wali? – zaskrzeczał głos, przytłumiony metalową barierą. – O, stały klient. Dawno cię nie było. Nie było nowej dostawy. Czego chce?

Daniel podniósł flakon tak, żeby rozmówca mógł mu się przyjrzeć.

– Mam swoją. Załatwiłem. Zapłacę za sprzęt.

Wizjer zamknął się. Znowu zapadła cisza. Daniel przestąpił z nogi na nogę, nie wiedząc, czego się spodziewać. Po chwili odgłos wysuwanych rygli wydobył się z wnętrza starej katedry. Ktoś



Edwin Bortkiewicz

Urodziłem się w Niemczech, gdzie się też wychowałem. Zajmuję się rysowaniem grafik o tematyce grozy, nie rzadko połączone motywami nordyckimi oraz słowiańskimi.

Do Gorzowa przyjechałem, kiedy miałem trzynaście lat, jako że często zmieniałem miejsce zamieszkania, miasto to zawsze było dla mnie swoistą przystanią między podróżami i częstymi przeprowadzkami. Zapraszam serdecznie do mojego Instagrama pod nazwą @edwin.eik <https://www.instagram.com/edwin.eik/>

siłował się z uporczywym zamkiem, aż w końcu drzwi ustąpiły.

– Wchodzi?

Daniel przytaknął, wciskając się w uchylone wrota. Kiedy wejście się za nim zatrzasnęło, potrzebował chwili, żeby przyzwyczaić wzrok do panującego wewnątrz półmroku. Bywał tutaj na tyle często, że znał na pamięć trasy i plan pomieszczeń. Jednak nigdy nie mogłeś wiedzieć, kiedy natkniesz się na coś niespodziewanego pod nogami. W oczekiwaniu na adaptację wysunął rękę z fiolką w kierunku gospodarza. Ten przejął ją, podniósł do góry i zakręcił kilka razy. Wypuścił powietrze z nosa. Niepokojąco głośno.

– Przemyślał? Odpowiedzialność nie nasza, płaci tylko za maszynę. Zwrotów nie ma.

Daniel przytaknął raz jeszcze, czując narastającą niecierpliwość i irytację. Głód kolejnej dawki wspomnień stawał się nie do zniesienia.

Popchnięcie w bark dało mu znać, że transakcja została zaakceptowana. Ostrożnie parł przed siebie, starając się ominąć każdą stertę ukruszonych cegieł. W końcu dotarli do kotary. Wszedł pomiędzy poszwywane koce i cisnął plecak na sto-

jące w rogu krzesło.

– Zapłata jest w środku, jak zawsze. Rozlicz się, kiedy będę dryfował.

Daniel rozsiadł się w pochyłym fotelu. Wyregulował zagłówek tak, aby głowa mogła ułożyć się komfortowo. Odźwierny w tym czasie przeciągnął system rurek za jego szyją. Rozpiął je, po czym zamontował na ich łączeniu otrzymane wcześniej naczynie z niebieskim płynem. Przytrzymując je, aż klient będzie gotowy, drugą ręką uderzał w klawisze na panelu sterującym Sennika. Sam wybrał odpowiedni program. Znał swoich klientów lepiej niż ich rodzzone matki.

Nie musiał czekać długo aż dozownik zostanie od niego odebrany. Daniel przysunął go do nosa. Zanim zdążył nacisnąć przycisk aktywujący, jego oczy spotkały się na moment ze spojrzeniem wychudzonego gospodarza.

– Żadnych zwrotów.

Kliknięcie wprawiło przedwojenną maszynę w ruch. Z dozownika wystrzeliły dwie długie igły. Każda wbiła się w osobne nozdrze, docierając do mózgu. Mężczyzna szarpnął się w fotelu, jego oczy powędrowały ku górze, odsłaniając białka.

Przez chwilę czuł niewyobrażalny dyskomfort, jakby cały jego układ nerwowy zapomniał, jak powinien funkcjonować. Charknął niewyraźnie. Wszystko ustąpiło, kiedy płyn z flakonu rozszedł się po rurkach, wędrując wprost do mózgu, filtrując się w dozowniku i ponownie wracając do obiegu. Ból zastąpił chemiczny błogostan. Ciało stało się lekkie. Umysł zapomniał o bólu istnienia.

Daniel opuścił oczy, ciesząc się promieniami słońca, ogrzewającymi jego twarz. Było gorące lato. Wiedział, że znajduje się na Placu Grunwaldzkim, chociaż nigdy w życiu nie słyszał tej nazwy. Nawet nie kojarzył, gdzie się znajduje. W teraźniejszym mu Gorzowie wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Ruiny niczym nie przypominały obrazów z przeszłości. Nim ponure myśli zdołały rozbrzmieć porządnie w jego głowie, odpłynęły. Wyparł je beztroski śmiech dzieci, które ganiały się pomiędzy strugami wody, wylatującymi z fontann. Dwa psy szczekały radośnie w niewinnej zabawie, próbując wzajemnie podgryzać sobie ogony. Gdzieś za plecami zadzwonił dzwonek roweru.

Stare rejestry zniknęły, został tylko sprzęt. Nie wiadomo, do kogo należały wspomnienia, z których korzystali teraz Dryfterzy. Daniel wiedział tylko jedno: zazdrościł każdemu, kto przeżył to naprawdę. Beztroskie chwile w świecie tak pięknym, nawet pomimo swoich niedoskonałości. Drażniło go tylko, że gdzieś głęboko we wspomnieniach rozbrzmiewa echo niezadowolenia, pragnienia czegoś lepszego. Choć dla niego było to zwyczajne niedocenienie czasów sprzed upadku.

Depresyjne myśli raz jeszcze uleciały, tym razem odgonione przez strumień wody, który przez przypadek dosięgnął skóry Daniela czy raczej skóry tego, w którego wspomnieniach właśnie dryfował. Opuścił wzrok z błękitu nieba, aby sprawdzić, który nicpoń postanowił go schłodzić.

Stał przed nim drobny chłopiec z roześmianą buzią, zaciskający dłonie na naciętej butelce. Był gotowy w każdej chwili chlapać dalej. Dryftera ogarnął ogromny niepokój. Swoją własną, a nie ze wspomnień. Uśmiech na twarzy dziecka zaczął się rozpływać. Zupełnie, jakby topiła mu się twarz. Po chwili cały obraz zaczął drgać. Ludzie tracili swoje naturalne proporcje. Niektórzy rozciągali się. Inni przybierali nieopisane kształty, a ich kończyny oddzielały się i wracały na miejsce. Chciał krzyczeć, ale nie mógł. Był zmuszony w bezruchu patrzeć, jak szare anomalie rozrywają otaczającą go rzeczywistość.

Właściciel Dryfterni w niedysiejszej katedrze patrzył, jak ciałem Daniela szarpia konwulsje.

Widział podobne objawy dosyć często. U tych, którzy dryfowali na podejrzanym Wspom-netkach albo robili to za często. W tym przypadku miejsce miało jedno i drugie. Drugi etap nastąpił szybciej niż zwykle: oczy poczerwieniały, a po chwili dołączył do nich krwawy strumień łez. Teraz trzeba było czekać tylko na gwałtowne przyspieszenie oddechu, który stopniowo zacznie zwalniać. Aż ustanie całkowicie.

Daniel czuł, że walczy o każdy oddech, choć obraz, który widział przed sobą, wciąż tkwił w bezruchu. Nieruchome wspomnienie ciała zastygło. Dryfujący czuł, że gwałtowne oddechy, które nabiera, niemal rozsadzają mu płuca. Wspomnienia zaczęły zlewać się z rzeczywistością. Skradzione obrazy zaczęły mieszać się z jego wspomnieniami. Świat rozpadał się i powstawał na nowo. Za każdym razem bardziej pokraczny, zdeformowany. Czuł się, jakby ktoś kpił z jego tęsknoty za światem, którego nie poznał. Zdawało się, że męki ciągnęły się kilka dni, mimo że w rzeczywistości upłynęło zaledwie kilka minut. W końcu nadeszło błogie wybawienie. Zaczęło robić się coraz ciemniej, wizje ponownie nabierały stabilizacji. Wraz z jego ostatnim tchnieniem zapadł kompletny mrok. Na chwilę przed końcem ostatniej podróży w czasie ujrzał raz jeszcze piękny park. Pełen pachnących róż, z dużym stawem, w którym tłoczyły się kaczki. Jego ulubione ze wszystkich wspomnień, których doświadczył podczas ponad setki Dryfów.

Gospodarz skończył właśnie ściągać buty z nóg Daniela, kiedy jego klatka piersiowa wydała ostatni dech, a mięśnie w końcu przestały wic się bez kontroli.

– Nie warto żyć tym, co było – mruknął zdecydowanie za późno, przymierzając nowe trepy.

Okazały się pasować idealnie. Wygodne, rozchodzone. W sam raz na sprzątanie. Już czwarty raz w tym tygodniu, a była dopiero środa.

Jan „Kocilla” Walaszek – psiarz i pisarz z zamiłowania. Urodził się i wychowywał w Gorzowie Wielkopolskim. To tutaj rozwinął u siebie pasję do fantastyki oraz literatury. Doświadczenie nabyte w rodzimym mieście pozwoliło na późniejszą współpracę z kilkoma internetowymi serwisami popkulturowymi, m.in. Nerdheim jako redaktor. Mimo że od blisko dziesięciu lat funkcjonuje jako włóczykij, który regularnie przeprowadza się z miasta do miasta, często wraca do rodzinnego miasta.

Tim i Theor

Klaudiusz Ort

Nagły błysk oślepił siedzących przy ognisku. Uhól (wymawiane z wyraźnym naciskiem na drugą sylabę, co było w jego plemieniu oznaką najwyższego szacunku) upuścił trzymany w rękach kij z nabitym na końcu mięsem antylopy i zerwał się na równe nogi, szukając po omacku swojej włóczni, którą rzucił nieroztropnie gdzieś w trawę.

Gdy jego oczy z powrotem przyzwyczyły się do słabego światła zmierzchu, dostrzegł wyłaniający się z tumanów mgły wielki kamień, którego jeszcze przed momentem tam nie było. Gdy myślał, że kompletnie postradał zmysły, kamień nagle otwarł się i wyrzuciła z niego dziwna biała istota.

– Gdzie my jesteśmy? Co ty wpisałeś w tym nawigatorze?

– To, co szef kazał. Siedemset trzydziesty szósty cykl galaktyczny, tysiąc dwieście...

– Ósmy! Siedemset trzydziesty ósmy cykl, cymbale! – poczerwieniała ze złości pierwsza z postaci, znajdujących się w najdziwniejszym obiekcie, jaki przyszło Uhólowi oglądać w jego długim, trzydziestodwuletnim życiu.

– Ale szef naprawdę powiedział...

– Zamknij się! – skarcił podwładnego Major Tim Travl, gdy spostrzegł, że nie są tutaj sami. Kilkanaście metrów na wprost wyjścia z kapsuły dylatacyjnej zauważył przyglądającą się im z zaciekawieniem bandę. Po chwili dostrzegł również, że większość z tych osobliwie wyglądających osobników trzyma w rękach dzidy. Tim zbliadł i nieśpiesznie zaczął się wycofywać, szepcząc do towarzysza:

– Gdzieś ty nas do cholery zabrał, co Theorze?

Theor Reltiv, główny nawigator tej kupy żelazstwa, który Ziemska Federacja Galaktyczna nazywa wahadłowcem międzyczasowym, sprawdził ponownie współrzędne lądowania.

– To jest Ziemia, Majorze. 1,74 cyklu galaktycznego przed założeniem ZFG.

– Czyli dzikusy – stwierdził ponuro Travl. – Hej, wy! Tak, wy! Przybywamy w pokoju!

Kilku pobratymców Uhóla podskoczyło, słysząc okrzyk świetlistego przybysza.

– Nastawiaj to ustrojstwo i spadamy stąd, zanim zechcą nas bliżej poznać. No już!

– Mam złe wieści, Majorze – drżącym głosem obwieścił główny nawigator. – Rozsynchronizował się oscylator kwantowy.

– Że co, proszę? – nie mógł uwierzyć we wła-

sne nieszczęście – Żartujesz sobie?

– Mówię najzupełniej poważnie.

– Niedobrze – pomyślał Travl, spoglądając na coraz śmielej zbliżających się tubylców. Wycofał się za próg kapsuły i już chciał zamknąć za sobą drzwi w cichej nadziei, że wszystko się jakoś ułoży samo, gdy zza pobliskiej kępy wybiegł kolejny dzikus, machając bezładnie rękami i krzycząc coś do swoich towarzyszy, którzy po wymianie kilku pomruków i burknięć opuścili broń. Wnosząc po tym, jak mu się przyglądali, Tim nie miał jednak wątpliwości, że w razie potrzeby są w stanie ją podnieść i to bardzo szybko.

Nowo przybyły odłączył się od grupki i zamasztył krokiem podszedł do wrót pojazdu.

– Ekhm, witajcie. Jeżeli tylko zachowacie spokój, to wszystko się dobrze skończy.

Tim i Theor rozdzielili mimowolnie usta, słysząc nieskalaną neoangielszczyznę. Spojrzeli po sobie i przez dłuższą chwilę przyglądali się brodatemu osobnikowi.

– Zapewne jesteście zdziwieni zaistniałą sytuacją, to zrozumiałe. Akurat poszedłem nieopodal załatwić swoje potrzeby, gdy usłyszałem podniecone krzyki moich braci. Na całe szczęście zdążyłem powstrzymać ich przed zrobieniem z was sitka.

– A ty to kto? – dał radę w końcu wydukać Major.

– Moje plemienne imię brzmi Sha'ma. A wy, panowie, jak się zwiecie?

– Ja jestem Major Tim Travl, a ten trzęsący się za moimi plecami to Theor Reltiv. Byłbyś tak uprzejmy wytłumaczyć nam, co tu się do cholery dzieje?

– Tim i Theor – powtórzył w zadumie Sha'ma.

– Nie chcielibyście dołączyć do nas? Wyjaśnię wam wszystko przy ognisku. I tak się nie zapowiada, żebyście w najbliższym czasie opuścili to miejsce, a przydałoby się...

– Nigdzie się nie ruszymy, dopóki nie wyjaśnisz nam, skąd na tym pokrytym trawą pustkowiu, w czasach, gdy szczytem technologii jest zaostrzony na jednym z końców bądl, znalazł się ktoś, kto rozumie język powszechnie używany w kilkunastu układach planetarnych.

Tim całe zdanie wyrzucił z siebie na wydechu, patrząc prosto w oczy zarośniętego mężczyzny. Trzymał rękę na kaburze i chciał, żeby tamten był tego świadomy. Niejedno słyszało się o dezertkach, próbujących uchronić się przed oficjalnym

wyrokiem federacji w bezpiecznych przyczółkach zamierzchłych czasów. Bywają niebezpieczni. Tim nie chciał przez czysty przypadek stracić życia, bo było to akurat coś, co lubił i do czego zdążył się już przywiązać.

– Ech... Kod waszej kapsuły to 13W-3427. Trafiliście tu przez pomyłkę i gdyby nie usterka waszego wahadłowca międzyczasowego, nie prowadzilibyśmy teraz tej rozmowy

Widząc wpelzające na twarze rozmówców zdziwienie, dodał:

– Widzisz, Majorze Travl, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, jestem tobą. Tylko starszym.

Ostatnie słowa zawisły w powietrzu.

– Ożeż w mordę! – z wnętrza kapsuły dobiegł głos Theora – Jak to możliwe, że ty...

– Nie słuchaj go, Reltiv – uciął pytanie Major i zwrócił się z powrotem do stojącego w obszarpanych szatach Sha'ma. – Skąd mamy wiedzieć, że nie blefujesz? Nawet mnie nie przypominasz! Ja się tak nie garbię! I z pewnością nie wyglądam jak stary, pomarszczony daktyl! I z ust nie jedzie mi jak z...

– To nie było miłe! Ciekawe, jak ty byś wyglądał, gdybyś od siedemnastu lat błąkał się po sawannie! – odszczeknął Sha'ma. – Słuchaj, wiem, że to wszystko brzmi jak z tandetnej książki science-fiction, ale takie są fakty. Przybyłem tutaj przed kilkunastu laty tą samą kapsułą, co wy, i uwięziła mnie w tym miejscu ta sama awaria. Przyłączyłem się do tej bandy, żeby przetrwać.

– Udowodnij.

– Jesteś Major Tim Travl. W 3418 roku straciłeś... straciliśmy syna. To przez śmierć Steve'a zaciągnąłeś się do...

Wbita zniecierpliwiona pięść w brzuch uniemożliwiła Sha'mowi dokończenie zdania, a gdy upadł na klęczki, tuż przed jego twarzą pojawiła się lufa dematerializatora.

– To niczego nie dowodzi. Moje nazwisko jest na tyle znane, że do takich informacji może dotrzeć każdy, jeśli się postara. A kod wahadłowca widnieje na blachach, więc mogłeś go równie dobrze przeczytać, siedząc w tamtych zaroślach – rzekł chłodno Tim, lecz mimowolnie zaczął dostrzegać pewne podobieństwa. Sha'ma także miał ciemnobrązowe oczy. Przez bujną, sięgającą do piersi brodę i mocną opaleniznę nie mógł jednak zweryfikować, czy ukryta tam twarz jest także jego własnym, strudzonym długimi latami i spieczonym przez bezlitosne słońce obliczem.

– Sha'ma! – Tima wyrwał z zamyślenia wysoki krzyk i po chwili tuż obok klęczącego i trzymającego się za brzuch brodacza znalazła się drobna kobieta, która odłączyła się od reszty dzikusów.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta, co widać było po mocno zacisniętych na dzidach pięściach.

– Theorze, spróbuj zrekonfigurować nasz oscylator.

– Już nad tym pracuję, szefie!

Travl uśmiechnął się. Dobrze mieć ze sobą takiego nawigatora jak Theor.

– Kto to jest? – Tim wskazał wtulającą się w Sha'ma kobietę.

– To jest Ehl. Moja żona.

– Twoja... co? Musisz być szalony, jeśli myślisz, że uwierzę w to, że brudna i głupia dzikuska mogłaby zostać moją...

– Ja nie być głupia! – rzuciła Majorowi wyzywające spojrzenie Ehl, co do reszty zbiło go z panatyku. Broń skierowała się w jej stronę. – A ty skąd znasz nasz język, co, dziecinko?

– Zostaw ją! Ja ją nauczyłem! Przecież mówię, że nie przyleciałem tutaj wczoraj! – podniósł się Sha'ma, odsuwając kobietę – Oni nie są takimi dzikusami, jak ci się wydaje.

– Szefie, oscylator kwantowy naprawiony! Możemy lecieć – obwieścił Theor.

– A to jak wyjaśnisz? Ciebie drobna usterka zatrzymała tutaj na prawie dwie dekady, a my radzimy sobie z nią w kilka minut, tak? Nie kupuję twojej bajki, kolego.

– Ja nie miałem takiego szczęścia jak ty – odrzekł Sha'ma, po czym spojrzał na nawigatora z kamienną twarzą. – Po naszym lądowaniu Theor nie przeżył na tyle długo, by móc się zająć oscylatorem. Ja ledwo zdołałem uciec, ale i tak bym nie dał rady...

– Łezesz jak pies! To wszystko kłamstwa!

Sha'ma pozwolił wpierw ochłonać Timowi, po czym powiedział ze spokojem:

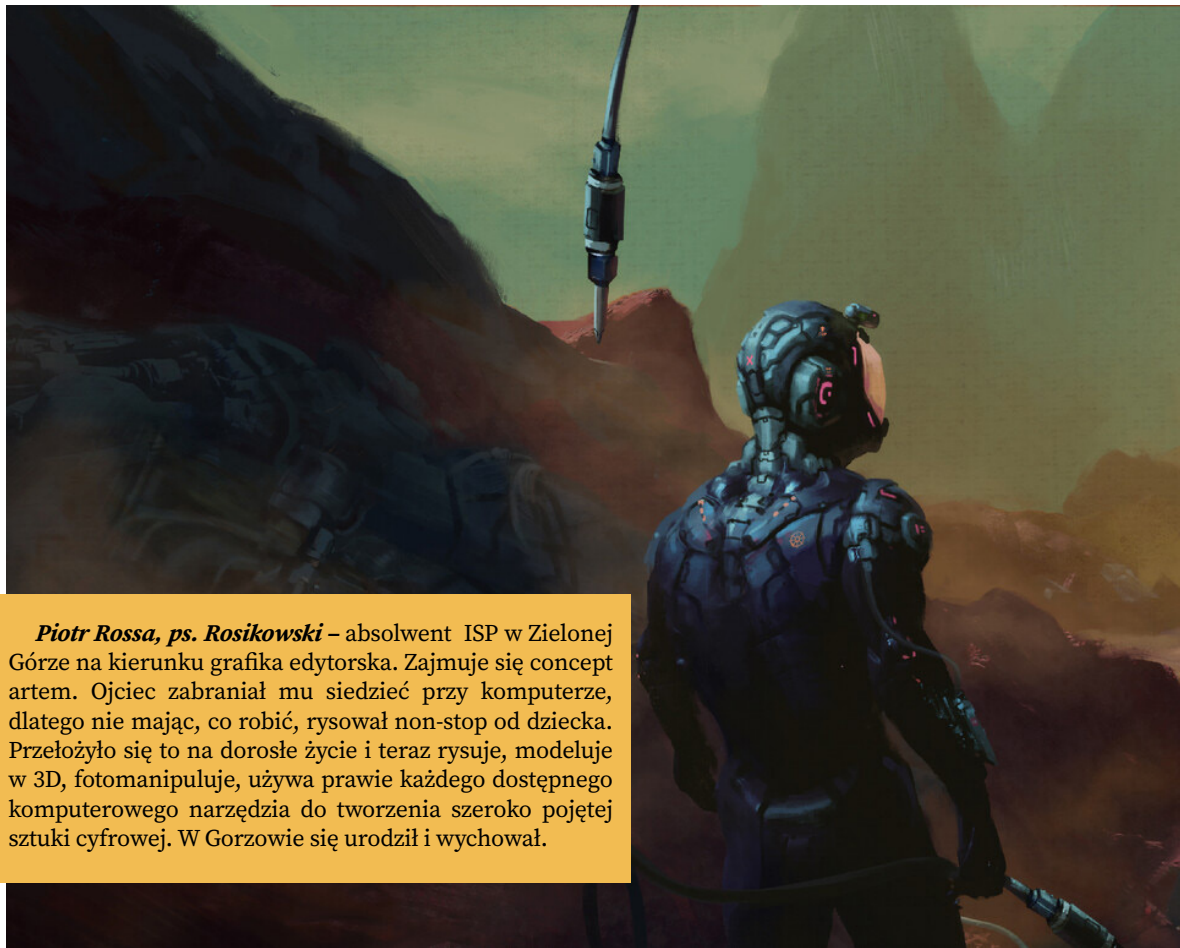
– A czy ty byłbyś w stanie sam naprawić taki sprzęt? Poradziłbyś sobie, gdyby nie Theor? W głębi duszy wiesz, że mówię prawdę.

– Może i tak. Dowiemy się po powrocie. Włóż do słuzy! – Tim złapał za brudne szaty i próbował wciągnąć starca do kapsuły, ale ten się wyrwał.

– Nie, proszę! Pozwól mi zostać!

– Nie... ma... mowy! Włóż do pieprzonego wahadłowca albo przerobię cię na chmurę elektrowną, rozsianą po całym ramieniu spiralnym!

Po blaszanym obiciu wahadłowca z hukiem ześlizgnęła się ciśnięta przez któregoś z tubylców dzida. Co prawda nie sięgnęła ona celu, ale sprawiała wrażenie, że gdyby tylko chciała, toby mogła. W trakcie całej tej popaprannej sytuacji Tim na chwilę zapomniał o obserwowanej ich bandzie. Gdyby tylko chciał, to mógłby ich wszystkich zmieść z powierzchni ziemi jednym strzałem,



Piotr Rossa, ps. Rosikowski – absolwent ISP w Zielonej Górze na kierunku grafika edytorska. Zajmuje się concept artem. Ojciec zabraniał mu siedzieć przy komputerze, dlatego nie mając, co robić, rysował non-stop od dziecka. Przełożyło się to na dorosłe życie i teraz rysuje, modeluje w 3D, fotomanipuluje, używa prawie każdego dostępnego komputerowego narzędzia do tworzenia szeroko pojętej sztuki cyfrowej. W Gorzowie się urodził i wychował.

ale zakazywała tego Międzyczasowa Ustawa dot. Pierwszego Kontaktu.

– Gdybyście przylecieli po mnie wcześniej, to bez wątpienia wróciłbym z wami. Teraz jednak tu jest mój dom. Tu jest moja rodzina. Tu jest moja... miłość – spojrzał na Ehl. – Ziemska Federacja Międzygalaktyczna nigdy nie pozwoli mi do nich wrócić. Jeżeli nie ufasz mi, to zaufaj sobie. Czy spokój to nie jest to, czego zawsze szukałeś?

Tim Travl znał odpowiedź na to pytanie, choć duma nigdy nie pozwoliłaby mu się do tego przyznać. Z pomocą przyszedł mu jednak Theor, który zapełnił przedłużającą się ciszę.

– Szefie, powinniśmy już lecieć. Te dzikusy nie wyglądają zbyt przyjaźnie, a poza tym... pracuję z Panem Majorem już wystarczająco długo i... wierzę mu. Pozwólmy im żyć w spokoju, nikt nie musi o tym wiedzieć. Zbierajmy się stąd.

Z pewnym ociąganiem, jednak w końcu Tim puścił szaty brodacza i z poważną miną wycofał się do wnętrza kapsuły.

– Dziękuję – powiedział Sha'ma, stojący u wej-

ścia międzyczasowego wahadłowca.

Major Travl rzucił mu tylko krótkie spojrzenie, po czym wydał rozkaz zamknięcia śluzy. Zebrani zasłonili oczy przed intensywnym światłem, a gdy je odsłonili, w miejscu kapsuły widać było tylko strzępy rozwiewającej się mgły. Sha'ma usiadł na ziemi, ciężko dysząc.

– Ja pierdolę! Myślałem, że umrę. Jak boga kocham, myślałem, że już po mnie!

– Spokojnie, kochanie – uspokajała go Ehl. – Najważniejsze, że jesteś cały i zdrowy.

– Mieliliśmy szansę – Sha'ma wbił wzrok w osmalony skrawek gruntu, gdzie do niedawna stał pojazd. – To była okazja jedna na milion, że przez przypadek tutaj trafili! Mogliśmy zaciągnąć ich do ogniska, dzielić po łbie i uciec stąd! A tak musimy się dalej tułać z tymi zawszonymi prymitywami!

– Nie mów tak! Gdyby nie oni, to właśnie byłbyś wleczony przed sąd Ziemskiej Federacji Galaktycznej – pogłaskała go po głowie Ehl. – Poza tym nie jest tak źle, jak ci się wydaje.



– Jak to?

Ehl, zamiast odpowiedzieć, wyciągnęła przed siebie otwartą dłoń, na której Sha'ma dostrzegł najprawdziwszy oscylator kwantowy. – Co? W jaki sposób... – Nie wierzył własnym oczom.

– W trakcie, kiedy wy się szarpaliście, zdążyłam sięgnąć do pudła z częściami zamiennymi – uśmiechnęła się dziewczyna. – Czy dzięki temu będziesz w stanie naprawić nasz statek? Umiesz to skonfigurować?

Sha'ma, oniemiały ze zdziwienia, patrzył to na oscylator, to na ubrudzoną twarz kobiety. W końcu na jego twarzy zakwitł najszczerzy uśmiech, na jaki pozwalały jego mięśnie mimiczne.

– Nigdy nie przestaniesz mnie zaskakiwać, najdroższa.

– Ale że ty jako Tim Travl – Ehl zaczęła chichotać. – Ty, poszukiwany w dwóch ramionach galaktycznych dezterter, i sławny Major Tim Travl w jednym!

– Haha, nieźle to wymyśliłem, co nie? Nie wie-

rzę, że ci idioci to kupili!

Uhól wraz ze współplemińcami przyglądali się zanoszącej się od śmiechu dwójce. Niedługo potem ujrzeli, jak oboje wkraczają do wnętrza jednego ze znajdujących się w okolicy pokrytych mchem głazów, który po chwili rozplynął się w oślepiająco jaskrawym świetle. Gdy Uhólowi wrócił wreszcie wzrok, podszedł spokojnym krokiem do przygasającego ogniska i wyjął z niego doszczętnie spalone mięso antylopy. Badając zwęglone resztki swojej niedoszłej kolacji stwierdził, że już nigdy więcej nie przyjmie do swojego klanu obcych.

Klaudiusz Ort – mitoman urodzony w Gorzowie Wielkopolskim. Ukrywa się pod pseudonimem mającym konotacje astronomiczne tak zawile, że nikt nie wie, o jakie chodzi. Umiarkowanie dumny twórca dziesiątek dzieł z zakresu science fiction i fantasy, z których skończył trzy, jeden porzucił w połowie, a za resztę nigdy się nie zabrał.



Anna Kowalczevska jest urodzoną gorzowianką. Początkowo jej pasją było malowanie i pisanie (co zaowocowało m. in. powieścią fantasy „Tchnienie: Księgi Wybranych”), jednak z czasem odkryła w sobie zamiłowanie i talenty ezoteryczne. Ceni astrologię, ale większość swojej uwagi poświęca kwestiom tarota. W mediach społecznościowych dzieli się wiedzą na jego temat i zwraca uwagę na to, jak ważny jest kontakt z samym sobą.

Z wizytą u Papuszy

*z książką w ręku
cofam się
o ponad pół wieku
szukam jej w parkach
i koło Mickiewicza
by w rękę spojrziała
wywróżyła lepsze dzisiaj
chcę zagłębić się
w oczach ciemnych jak
wieczorny las
który kochała ponad
w gorzowskich murach
tęskniła boleśnie
gotowa załadować się na wóz
wyruszyć ku wolności
pisać kolejne wiersze*

Aneta Długołęcka – fotografka i poetka, gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z nieformalną grupą fotograficzną fCzasowicze. Należała do grupy „Poeci Okrągłego Stołu” i do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 w ramach „Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stołu” ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*. W 2024 roku miał miejsce debiut osobisty w postaci tomiku *Pierwszy tatuaż*.

Piwo z Furmanem

*wybrać się w podróż
do czasów w jazzowym klubie
gdy można było
spotkać tam ciebie
postawić złoty trunek
dobry na nerki
i tworzenie
kolejnych strof
zaglądnąć przez ramię
oczy nasycić
zgrabnymi wersami
może przy okazji
też wenę schwycić*

Planeta Landsberg 2261

Dariusz Jacek Bednarczyk

– Zdejmujemy skafandry. To co? Po co lecis na tego Landsberga?

– Na praktykę studencką.

– To czemu stopem, nie dali na bilet?

– Dali ryczałtem, ale stopem nie dość, że za friko, a kasa dla mnie, to jeszcze można przeżyć cool przygody.

– Jak Landsberg to pewnie na kopalni? Nasza czy niemiecka?

– Załatwiłem dwie praktyki, bo tam dobrze płacą, lecz nie na kopalni. Pierwsza to nasza firma, przy produkcji narzędzi z mieszkanki tamtejszego regolitu z chityną, a druga u Niemców na linii poltruzynnej, gdzie wytwarzane są pręty z miejscowego bazaltu.

– A wiesz, co ja będę wyładowywał na Landsbergu? Właśnie taką linię popa, polta...

– Poltruzyną.

– O, dokładnie. Nieee! Na razie nic nie pij i nie stawiaj na blacie, bo odleci, grawitacja u mnie szwankuje, musi się naładować, jeszcze z dziesięć minut i zniknie nieważkość, wiesz, nowy sprzęt kosztuje, a to moja bryka. Widzę, że pierwszy raz w próżni, to zobaczysz, jak tam drogo, kurde, że dwadzieścia razy drożej niż

na Ziemi. Ja w realu mieszkam na Grenlandii, bo pogoda tam całkiem znośna, nawet nie trzeba palm podlewać i normalnie myślałem, że u nas drożyzna, ale jak tylko pierwszy raz wszedłem do ichniego Shopping Center, to zwątpiłem. Jakie ceny! A wiesz, czemu ciągle brakuje tam cukru? Bo wszyscy pędzą sznapsa, hahaha! Chwila, mam splita z domem...

– Dobra, bo wiesz, ja robię na kabotażu, a z Landsberga lecę w stronę Buzzkocks 77, tankowanie, wyładunek i załadunek, kumasz?

– U Angoli to chyba jeszcze drożej?

– I to jak! Ale za to mają git organizację, załaduję trochę niklu.

– Skąd ten nikiel? Przecież tam nie ma żadnych kopalni?

– Z komet. A ten, potem lecę na Dyterbiernat, jarzysz?

– Wiadomix, księżyc Rawsa, ależ to przecież podróż w czasie, czyli ma pan spec zezwolenie? A pewnie baza leży w jednym z tych kulturowych kanionów?

– Sześć lat już latam na specówie, dokładnie,

a mówię ci, okrutne te kaniony i cały czas na manualu.

- Na manualu? Nie autopilocie?

- To ponad 20 kilosów w dół, a w tych kanionach trafiają się nagle zawirowania czasoprzestrzeni i trza reagować na speedzie, wiesz, jeszcze leasingu nie spłaciłem...

- A, już wiem, w przeszłości nie znali niklu i cena tam wyższa. A co pan tam ładuje?

- Nanokrzem i te, diamenty! Całe 20 ton!

- O, kurczę, z tego oceanu roztopionych diamentów, jak by tak to spieniężyć...

- Zapomnij, wiesz jaka tam ochrona? Niby zamierzchna era steampunkowa, a tam wyłącznie androidzi, ścignęli się z przyszłości, nie pogadasz, a wszystko musi być co do sekundy. Co chwila śluz, skaning, kontrole, wte i wewte, do tego ładują ci się na pokład i świdrują tym swoim martwym spojrzeniem przez cały czas, brrr...

- Nie obawia się pan ciągłego przekraczania bariery czasowej i piratów?

- Jasne, że się boję, ale lecisz w konwoju, a wokół fregaty SI, mówię ci, ciągle mijasz spalone wraki. A przed barierą chroni mnie lemczip, drogi, ale skuteczny.

- Jeszcze nie miałem do czynienia z uzbrojoną SI.

- Nie masz czego żałować, to normalnie obcy stworzony ręką człowieka. Zimny i kompletnie bez emocji. Jak dostanie impuls, z mety wykona, nie ma zmiłuj. Wiesz, jakie ja robiłem przekręty z celnikami? A z takim cyborgiem to nic nie pogadasz, karta, czip, kody, login, skaner DNA i po zawodach, obojętnie w przeszłości czy przyszłości, dla niego czekać na służbie przez trzy doby to zaledwie procedura, a ty, człowieku, ledwo wyrabiasz na rękach i nie wiesz, co ci taki wywinie.

- Czyli, że niby co, hodujemy węża na własnej piersi?

- Ja tam wierzę, że nic nie zastąpi człowieka. Kiedyś kiblowałem na służbie przez długi weekend, a w poniedziałek dalej było zamknięte. Wrzucam na bęben androidom te wszystkie kody i loginy, zaś oni w kółko tylko: *procedura zawieszona, procedura zawieszona*. Jak się wpieniłem! Wszedłem na CB-spejsa i popytałem mobilki, od razu jakiś ziomeczek podrzucił mi kody obejścia i służa otwarta!

- A androidy co na to?

- Nic, bo to było na legalu, tylko oni nie mieli tego w programie, normalnie żadnej inicjatywy, randomy, dlatego ja tam jestem spokojny, jaka samoświadomość? Polak potrafi nawet podczas podróży w czasie, a taka SI od razu bezradna, ha-haha!

- A z tymi diamentami dokąd pan leci?

- Kierunek Le Guin, wyląduję te diamenty i paka wolna.

- To ile zajmuje taki rejs?

- Według tachy sześć tygodni, ale ja wykręcam pętlę na trzy miechy.

- Trzy miesiące? To gdzie pan śmiga, jeśli to nie tajemnica?

- Tajemnica nie tajemnica, bo wiesz, różnie jest, ale ci mówiłem, że to moja bryka, leasing kosztuje, a trza sobie radzić. O, rangersi, zwolnię cug. Dobra, najważniejsze, żeby cię na radarach nie namierzeli. A już najgorsze, jak cię cofną na kosmodrom, terminy idą się... Gdzie się pchasz?! Widziałeś go? Na trzeciego! Ściągnął się lewe kody z tirneta i myśli, że wciśnie się bez kolejki na rozładunku! A niech go namierzą cyborgi do kwarantanny, to przez dwa miechy będzie na kosmodromie szamał papkę z robali! Wiem, bo nieraz tam kiblowałem, czasami niektóre są niezmielone i w dodatku żywe! Ohyda! A wiesz, kto na trasie sieje prawdziwe zagrożenie? Te porąbane, krzemowe mózgi! Te wszystkie ich implanty, czipy, wlepki niedługo przestaną być ludźmi! Myślą, że jak się stuningowali, to im wszystko wolno! „Szybcy i wściekli”, kurde! No, szczerze powiedziawszy, za młodego, zaraz po służbie w SK, niby sam zastanawiałem się nad jakimś ulepszeniem, wiesz, do pracy, ale jak pomyślałem, iż mogą mnie zhakować, przeprogramować, spowolnić czy co tam jeszcze, to dałem sobie spokój. No bo pomyśl tylko, nic, tylko instaluj w sobie kolejne antywirusy. Biohacking? Nie, to nie dla mnie. Ale ty nie masz chyba żadnych cyber implantów?

- Nie.

- No, dobra, po drodze wpadam na Tropical Island 777, musisz to zobaczyć, cofasz się w przeszłość jakieś dwieście lat, na lemczipie to betka. W weekendy pęka w szwach, nie wciśniesz nawet igły. Jak tylko zacumujesz, w mig pojawiają się stewardzi. Przyciskasz kciuk do terminala, zaznaczasz kwotę i wychodzisz na promenadę. A tam masa ludu z całego Układu. Mówię ci, bajeczne laguny, zatoczki pod palmami, wiesz, te zaciszne polanki, pohukiwania ptaków, lekki wiaterek, buszujące w trawie mrówki, prawdziwy kontakt z naturą, kiedyś to było...

- Super, a te pozostałe sześć tygodni...

- Wiesz, trza dorobić coś na boku, zawsze znajdzie się jakieś lewe cargo. Myślisz, gdzie, nie? Na pewno słyszałeś o Pasie Kuipera? Przeszło 100 tysięcy obiektów, strefa ponadnarodowa. Różnej maści uciekinierzy, outsiderzy, sekty, obieżyświaty, szumowiny, ale każdy potrzebuje żarcia i agre-

gatów.

- Ależ to ryzykowne tak cofnąć się o trzysta lat, lemczip jeszcze to ogarnia?

- Wkalkulowane, zbieramy się w kilku i doładowujemy zbiorowo, wychodzi taniej, poza tym wzajemnie się pilnujemy, jak dotąd, odpukać, nic się nie stało. Ale wiesz, ja mam jeszcze swój patent. Nie powiem ci, gdzie, ale jest taka planetka, co prawda mega ryzykujesz z barierą czasu, ale za to jaki hajc, a zarazem oldschool, prehistoria. A jest tam takie bajeranckie Miasto na Siedmiu Wzgórzach i pewnie nie słyszałeś...

- Coś słyszałem, planety, miraże?

- Dokładnie, bo wiesz, filujesz planetę, cyklotron, przyspieszacz, fugi-mugi, schodzisz w czasoprzestrzeni, to ulegasz złudzeniu i zaraz chcesz wylądować, a tu nie ma jak, to zbudowali tam stacje pośrednie, wiesz, na nielegalu dla takich przemytników jak ja.

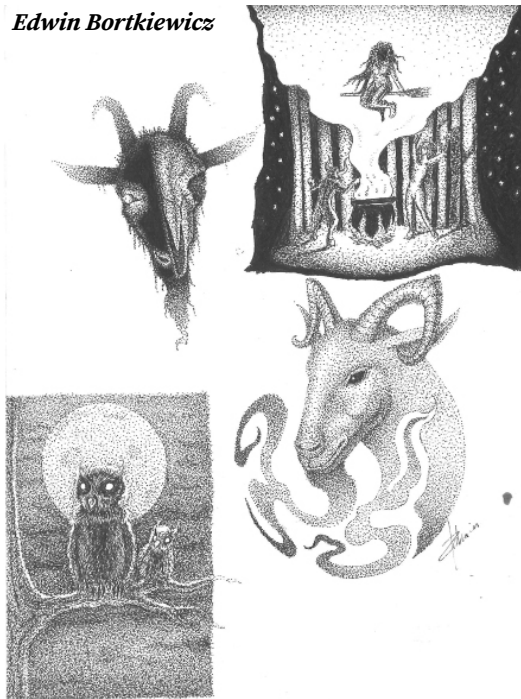
- A problem wzrostu masy? Odczuwa pan coś?

- Widać coś po mnie? Zero mutacji. No, kurde, więc kiedyś wylądowaliśmy starą ekipą. Pokręciliśmy się trochę, aż nadszedł time wrzucić proteiny na ruszta. Patrzymy, kurde, a na winklu ni mniej, ni więcej napis: **Gorzów**. Normalnie swoi, ja chłopak z Kostrzyna, więc jak w dym, a cóż to była za miejscówka, prawdziwy powrót do przeszłości, XX wiek... Słuchaj, no, przy barze kilku uważnie przyglądających się nam menów. Podjarani zapachem piva i frytek z glonów zalogowaliśmy się pośrodku przyciemnionej sali. Nie przeszkadzały nam nawet znane jedynie z archiwalnych filmów toksyczne kłęby papierosowego dymu, prawdopodobnie mieli licencję. U nas też podobno są takie bunkry dla desperatów. Nikogo nie obchodziły dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia przeraźliwe krzyki, byliśmy totalnie zrębani lotem. Czekając na kelnera przyjrzałem się miejscowym. Spod baru bez przerwy bacznie nas obserwowano. Zasiadający wokół stolików sprawiali dziwnie znajome wrażenie. Coś mi to przypominało, ale co?

Rozważania przerwało nadejście długo oczekiwanego kelnera. Jego rozbiegane oczy, srebrny czip w lewym uchu oraz dziurawy, poplamiony fartuch na tłustym brzuchu zgodnie przyjęliśmy jako kolejny przejaw miejscowego folkloru. Zamówiliśmy kapuśniak z wieprzowiną, żadna tam kuchnia molekularna, genetyczne modyfikacje czy mięso hodowane w labo, normalnie full natural jak w prehistorii, dokładnie tak, jak ludzie niegdyś szamali. Oj, jak nas cieszyło spotkanie z parującą wazą, mówię ci.

Naprawdę długo czekaliśmy. Dodatkowo mieliśmy dość przeraźliwych krzyków dochodzących

Edwin Bortkiewicz



od zaplecza. Wreszcie na blacie wylądowało zamówienie. Rąbnawszy naczyniem o płaszczyznę stołu inny, całkiem szczupły kelner niezwłocznie ulotnił się, zabierając ze sobą dziwny, słabo skrywany pod przystrzyżonym wąsikiem uśmiešek. Sala jakby przycichła, a skupieni dżentelmeni spod baru postąpili krok w przód, nierozłączni niczym Korona i Litwa. Zerknąłem do wazy. Słuchaj - w parującej zupie, pośród fikuśnych oczek tłuszczu i materaców świeżego koperku, upiornie dryfowała para ludzkich uszu. Na skrzydełku jednego z nich hipnotycznie skrzył się srebrny czip... O, przed nami transit station, to co, może skoczysz ze mną w stronę Pasa Kuipera?

Dariusz Jacek Bednarczyk – ur. w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Współautor m.in. Wieluńskiego *Słownika Biograficznego*, t.3, pod redakcją Z. Szczerbika i Z. Włodarczyka, Wieluń 2016, antologii sf *Krawędzie otchłani*, Żary 2021, antologii *Węgry oczami Polaków*, Warszawa 2021, antologii sf *Dzień po najczarniejszej nocy*, Łódź 2023, e-antologii opowiadań grozy, *Podszepty*, Wrocław 2024 oraz antologii fantasty *Droga przez otchłani* Żary 2025.

Ponadto inne publikacje, m.in.: „Odra”, „Czas Literatury”, „Śląsk”, „Fabularie”, „Czas Kultury”, w tym sf: „Fenix Antologia”, kwartalnik „Hynh+”, „Informator GKF”, „Szortal”, „Magazyn Histeria”, kwartalnik „Abyssos”.



Piotr Rossa, ps. Rosikowski

Zamek

Michał Narożniak

Archiwista wyglądał na co najmniej zaskoczono.

– Zamek krzyżacki. Mógłbym pomóc z zamkiem krzyżackim. Wskazać, gdzie kopać dokładnie, by nie bawić się w chybił trafił – odpowiedział spokojnie brodaty, starszawy mężczyzna.

– Wiem, że to nie takie proste i sami tego nie możecie zorganizować... ale mógłbym pomóc...

Norbert Gąbczak poprawił okulary na nosie. Była już późna godzina i zaraz trzeba było zamykać, a tu nawinął się jakiś człowiek z przedziwną propozycją.

– O ile dostałbym dostęp do pism z nim związanych – dopowiedział po chwili staruszek.

– Niby jak? – Norbert skupił wzrok na rozmówcy.

Był ubrany w znoszone jeansy, bluzę, płaszcz oraz niezbyt elegancki kapelusz. Twarz miał dotkniętą ciężarem lat z przyszywaną nierówno brodą. I oczy. Niebieskawe i aż niepokojąco bystre.

– Tajemnica zawodowa – odpowiedział staruszek, prostując się z godnością.

Gąbczak z trudem się nie skrzywił, bo przeczuwał, że oto zaraz będzie musiał wysłuchiwać jakiejś przydługawej historii o tym, kim to starszy pan nie był za młodu, ale ten tylko poprawił kaszkiety i uśmiechnął się szeroko.

– I nie może to być jakaś tam cyfrowa kopia. Oryginał. Muszę go zobaczyć, przeczytać. Były jakieś listy między Landsbergiem a Elblągiem, tak? Macie któryś z tych listów? Albo pieczęć? Cokolwiek związane z tamtym miejscem?

Wzrok archiwisty powędrował ku naściennemu zegarowi. Z jednej strony myślami był już w domu, a z drugiej to ostatnie wykopaliska rzeczywiście nie wypaliły. I to po raz kolejny. Wiadomo było gdzie szukać – na terenie miejskiego żłobka, ale za każdym razem, gdy rozkopano teren, to nie znajdowano tych osławionych fundamentów krzyżackiego posterunku. Od czasu do czasu, przy przeglądaniu rycin z planami miast sprzed wieków, starsi archiwiści, a nawet dyrektor, wzdychali i mamrotali coś o „cholerzym zamku”.

– Tylko zobaczyć i przeczytać, tak? – spytał Norbert.

– Tak – rzekł rozpromieniony staruszek.

Do głowy archiwisty zawitało pytanie o to,

co złego mogłoby się zdarzyć, gdy da jakimś emerytowi pogapić się przez szybkę na kawałek zapisanego pergaminu? Skoro specjaliści nie byli w stanie wskazać miejsca, to równie dobrze można było skorzystać z pomocy szalonego starszego pana.

– Dobra – mruknął ciszej archiwista i wpisał odpowiednie hasło w system na komputerze. – To chwilę potrwa. Tak w ogóle to jestem Gąbczak Norbert, a pan?

Uśmiechnięty staruszek wyciągnął ku archiwście dłoni.

– Kołodziej. Ryszard Kołodziej.

Budynek przy ulicy Obotryckiej był kiedyś ratuszem. Teraz ta wielka, łukowata bryła stała pusta i zamknięta na cztery spusty, czekając na lepsze czasy, gdy uda się znaleźć środki na jej remont. Za nią znajdował się urząd miejski, a od frontu, po drugiej stronie ulicy, żłobek.

Był akurat środek nocy, gdy pan Ryszard opuścił bulwar przez przejście pod estakadą kolejową obok willi Herzoga i niespiesznym krokiem skierował się do starego ratusza, idąc wzdłuż ulicy Herberta. Majowe powietrze było rześkie. W środku tygodnia miasto pograżyło się już we śnie. Kołodziejowi to pasowało, potrzebował spokoju, by skupić się na tym, co wyczytał, na historii, na fakturze, na emocjach zawartych w skrawkach, które mu przedstawił archiwista Gąbczak.

Przeszedł przez ulicę i znalazł się przed wejściem do opuszczonego budynku. Zamknięte drzwi broniły dostępu, jednak staruszek wyjął z kieszeni płaszcza kilka narzędzi, którymi zaczął majstrować przy zamku. Poszło sprawnie. Drzwi zaskrzypiały okropnie, gdy je otwierał.

Był już tutaj kilka razy z przeróżnych powodów, a nawet wtedy, kiedy budynek jeszcze funkcjonował. Ruszył schodami na piętro, szukając osłoniętego pomieszczenia, w którym mógłby przystąpić do pracy. Stapał wyjątkowo ostrożnie. Nie śmiał włączyć nawet małej latarki, w obawie, że ktoś mógłby akurat patrzeć na okna budynku. Mijał sale, w których kiedyś odbywały się obrady, pracowali urzędnicy, oraz gabinety, z których włodarze zarządzali miastem. Pod warstwą farb, nałożonych współcześnie, tętniła historia tego miejsca tak różnorodna i fascynująca.

W końcu wybrał sobie ustronny gabinet. Było

tu pusto – wszystko wyniesiono, pozostawiając pomalowane zielenią i bielą ściany. Ryszard zamknął za sobą drzwi, sprawdził okna i zaczął rozwijać posłanie. Karimata, śpiwór i plecak pod głowę. Wyjął jeszcze z kieszonki plecaka złożoną kartkę, na której nabazgrał nazwisko autora listu, które odczytał w archiwum. Nie wiedział czy Gąbczak nie miał dostępu do listów bezpośrednio związanych z zamkiem, czy nie chciał mu ich pokazywać. Musiał zadowolić się listem z tamtego okresu, trochę niewyraźnym i podniszczonym. Nic to. Na „klucz” powinien wystarczyć.

Ryszard wziął głęboki oddech, zasnął głęboko i zabrał się do pracy.

Jak co rano, Albert Blumenfeld otworzył na oścież okno swojej klitki na poddaszu. Gdy to robił, patrzył na proporzec nad wieżą krzyżackiego zamku, a jego urodziwą twarz wykrzywił grymas złości, o który nikt by go nie podejrzewał. Miał reputację pięknoducha, a z racji aparycji i delikatnej postury zwano go Schmetterling.

Podobało mu się. Idealne dla artysty. A artystą był całkiem niezłym, bo w tak ciężkich czasach tylko zdolni byli w stanie prosperować. Wielu mieszkańców miało gorzej niż on.

Zjadł chleb, przekładany wysuszonym serem, wyszykował się i zabrał przybory. Tego dnia miał zlecenie u ponurego rachmistrza cechowego Gustava Tottenberga, a ten nie znosił spóźniałskich. Schmetterling czuł niepokój, tylko jego źródłem wcale nie była perspektywa paskudnego zleceniodawcy, a przemożenie przeczuć, że ktoś go bardzo uważnie obserwuje.

Do rachmistrza zaszedł kwadrans przed otwarciem biura. Tottenberg, łysiejący starzec o ciężkim spojrzeniu, wpuścił go do środka i zaprowadził na piętro do swoich pokoi. Mieszkanie nad biurem prezentowało się pełne życia, smaku i wyrafinowania – meble były solidne, bogato zdobione, a ściany wymalowano przepięknymi wzorami.

– Tam – wskazał rachmistrz jedną ze ścian, na której fragmencie farba zaczęła się łuszczyć. – Zejdź, gdy skończysz – dodał i wyszedł.

Albert rozstawił skrzynki i przyjrzał się ścianie. Obok stał sekretarzyk. Jedna z szuflad była otwarta, a w środku spoczywało kilka kart pergaminu oraz parę ołowianych pręcików. Rozejrzał się niepewnie. Okno pokoju wychodziło na rynek i nie sposób było, by ktoś zdołał go podejrzeć z kamienicy naprzeciwko. Wziął głęboki oddech, otworzył pierwszą skrzyneczkę i zabrał się do pracy.

Zlecenie Schmetterling wykonał dość szybko. Usunął łuszczącą się farbę, nałożył podkład, a potem domalował, co trzeba. Otworzył okno, by wpuścić świeże powietrze. Uczucie niepokoju wciąż z nim było, ale nie był w stanie nic na to poradzić. Czekając na wyschnięcie wykonał rysunki na pergaminie i zamknął je w sekretarzyku. Spakował się i zszedł do biura, gdzie rachmistrz śleczął nad księgami i łypał ponuro na młodych czeladnikach, siedzących w sali przy biurkach.

– Zrobione, Herr Tottenberg. Otworzyłem okna, do wieczora powinny...

Drzwi do biura otworzyły się na oścież, przerywając Albertowi, który podskoczył niby przyłapanemu na gorącym uczynku i wypuścił z rąk skrzynki. W drzwiach stał jeden z czeladników, sapiąc ciężko, nic nie robiąc sobie z panującą w środku atmosfery.

– Mistrzu Tottenberg... Krzyżacy... Krzyżacy opuszczają miasto!

Stali na szczycie zamkowej wieży. Były tu liczące się w Landsbergu osoby. Schmetterling przyszedł za rachmistrzem Tottenbergiem. Z fascynacją podziwiał widoki z wieży, którą nienawidził za powiewający nad nią biały proporzec z czarnym krzyżem.

– Ktoś może wyjaśnić, co właściwie się tu stało!? – zapytał rajca Uleman.

– Brandenburczycy, ot co. Zakon dogadał się z Hochenollernami ponad naszymi głowami. Nowa Marchia sprzedana – odpowiedział burmistrz Hans Kunat. – Za bardzo się guzdrailiśmy z tym wszystkim. Gdybyśmy zadziałali wcześniej...

– Nie ma co gdybać, Herr Kunat – odezwał się Gustav Tottenberg, zwracając uwagę wszystkich.

– Sam powiedziałeś, że to się teraz rozgrywa powyżej nas. Szansa, by na coś wpłynąć już przepadła...

Elita miasta dyskutowała zawzięcie, ale Albert ich nie słuchał. Myślał o niespodziewanej wyprowadzce Krzyżaków. Gdy tylko rycerze zakonnicy i ich sługi zniknęli z pola widzenia, sfrustrowani mieszkańcy zabrali się do łupienia opuszczonego zamku.

Nie tak to sobie zaplanowali włodarze. Miało być inaczej. Mieli cierpliwie podkopywać zakon na nowomarchijskich ziemiach i po cichu zachęcać Królestwo Polskie do wykupienia lub zajęcia tych ziem. Zakon nie miał z nich i tak wielkich zysków, głównie skupiając się na atakach na swojego głównego rywala. Polska Korona nie pozo-

stawiała dłużna i regularnie najeżdżała Nową Marchię wraz z Czechami.

Wszystko to musieli znosić mieszkańcy. Albert podzielał ich gniew i rozgoryczenie. Jego krewni umierali, gdy nie było pieniędzy na nic. On sam jakoś się ostał, ale głównie dlatego, że mógł liczyć na bogatych zleceniodawców. W tym na Zakon. W ten sposób został włączony do spisku. Pobożni braciszczowie, pomimo problemów finansowych i surowych reguł lubili mieć czym się pochwalić przed gośćmi Zakonu. Po każdym takim zleceniu dostawał robotę od kogoś z miejskich włodarzy. Pod pretekstem zlecenia szkicował dla nich zamkowe wnętrza, do których nikt poza zakonnymi sługami i rycerzami oraz ich gośćmi nie miał wstępu... i poza malarzem, który miał reputację bujającego w obłokach i gotowego głodować dla sztuki.

– Może gdyby ci z Dobiegniewa nie ciągnęli w jedną, a my w drugą... – zaczął Uleman, ale przerwał mu burmistrz.

– Już dość. Tottenberg ma rację. Czas myśleć, jak dostosować się do nowych realiów. Zacznijmy może od tego, co zrobimy z tym? Gdy tylko sytuacja okrzepnie, wprowadzi się tu ktoś nowy – wałnął otwartą dłońią w kamień.

Zapadło milczenie, które szybko przerwał milczący dotąd Albert Blumenfeld.

– To dobry kamień, szacowni panowie – rzekł, odwracając się do nich. – Będzie go tak na jedną lub dwie kamienice.

Kołodziej kładł przed archiwistą Gąbczakiem kolejne kartki z rysunkami. Ten patrzył oniemiały, zastanawiając się, co właściwie ma przed oczami. Stworzone ołówkiem obrazy przedstawiały panoramę średniowiecznego miasta z niewidzianej dotąd perspektywy. Były tam kamienice, katedra, mury obronne... Na jednym z nich był zamek krzyżacki.

– Na koniec pełna treść listu landsberskiego artysty Alberta Blumenfelda do jego kuzyna Bruna – z szerokim uśmiechem Ryszard rzucił ostatnią kartkę, jakby była zwycięskim asem.

Norbert wciąż milczał, patrząc na zaprezentowane materiały.

– Panie Ryszardzie.

– Tak?

– Ale to nie są... ekhm... autentyki.

Staruszkowi wciąż uśmiech nie schodził z twarzy.

– No, nie są.

– One mają dla nas zerową wartość. Skąd pan to w ogóle ma? Odrysował pan? Skąd? – zaczął do-

pytywać archiwistę.

– To nie jest ważne – machnął ręką Ryszard. – Schowaj pan to do kieszeni i sięgaj jak do ściąg. Taka pomoc naukowa. Będzie pan wiedział, gdzie kopać. Gdy wypłynie coś nowego, to będzie z czym porównać. Będzie pan pierwszy. Przekopie się przez żłobek, a potem...

– Tam było jeszcze gimnazjum... – przerwał mu Norbert.

– No to jeszcze przez gimnazjum i będziecie wiedzieli, że jak natraficie na takie kamienie, to, że to jest to – Kołodziej postukał palcem w rysunek zamku. – Panie Norbercie... zdobycie tego przypłaciłem przeziębieniem i bardzo nieprzyjemną rozmową z patrolem policji.

Gąbczak milczał, wpatrując się chłodno w pana Ryszarda. Nie wiedział, czy żartuje, czy nie. Nie spodziewał się, że staruszek przyniesie cokolwiek. A przyniósł. Tylko że wszystko było narysowane ołówkiem na zwykłym brystolu o formacie A3. W końcu Norbert westchnął.

– No dobrze, panie Ryszardzie. Wezmę to. Jak rozumiem, liczy pan na jakieś...

– Na przysługę – staruszek się rozpromienił. – Prosiłbym o rzucenie okiem na parę innych pism.

Gąbczak zacisnął wargi.

– Naprawdę nie łatwiej by było pójść z tym do muzeum? – spytał.

– Ech, nie. Tu jest tak... kameralnie.

Choć pan Ryszard kochał miejsca z historią, to wołał mieszkać w wieżowcu z wielkiej płyty. Mniej historii i wspomnień to spokojniejszy sen. Z jego zagraconego mieszkania rozciągała się panorama całego miasta. Widział wszystko. I widział gdzie, co, kiedyś się mieściło. Widział także swój następny cel.

Na wielkiej korkowej tablicy pinezkami miał poprzyczepiane mapy oraz niewielkie karteczki. Odnalazł jedną z karykaturą rozszluszczonego rycerza i napisem „Chłopaki Krzyżaki – zamek”. Odhaczył ją z uśmiechem satysfakcji, a potem przeniósł długopis nad karteczkę z rysunkiem jabłka i napisem „Reneta landsberska – eliksir?”. Zaznaczył ją dużym kółkiem.

Zadowolony zarzucił na grzbiet plecak i wyszedł z mieszkania.

Michał Narożniak – rodowity gorzowianin, miłośnik literatury, przyrody oraz szermierki. Lubi spędzać czas z rodziną w domowym zaciszu i na łonie natury. Rekonstruktor z grupy Milites Landsberg.

Próba czasu

Antoni Drozd



Wczesnie rano, kiedy nad miastem było widać już wschód słońca, niewiedzący jeszcze niczego główny bohater spał. Miał naprawdę dziwny sen. Był bowiem przekonany, że znalazł się nagle w rzeczywistości roku 2095, z dala od prawdziwego świata w kraju marzeń, wspomnień oraz wojen myśli. Towarzyszkę w międzygwiazdnych eskapadach i wycieczkach po księżycowych miastach miał jedną. Była nią szorstka, skręcająca wszystkie wnętrznosci, zawsze dotrzymująca mu kroku myśl o tym, że wyruszając w tę niezapomnianą podróż pozostawił swoją ukochaną w dalekim roku 1981...

Tak właśnie zgoła prezentuje się sytuacja, z jaką zмага się podmiot liryczny z koncepcyjnego albumu pod tytułem *Time* z 1981 roku autorstwa Electric Light Orchestra. Już od pierwszego odsłuchu płyta, chociażby ze względu na przewodni motyw podróży w czasie, wydała mi się iście intrygująca. Poniżej zamierzam podzielić się swoimi spostrzeżeniami na jej temat oraz subiektywną interpretacją całości. Pogłębioną analizę omawianego albumu porównać mogę do ciekawej, pouczającej podróży, podobnej do tej, będącej przedmiotem mojej krytyki. Proszę więc państwa o zapięcie pasów i życzyć miłego lotu.

Całość otwiera króciutki *Prologue*. Jednominutowa kompozycja, choć niepozorna, zawiera jednak wiele istotnych w odniesieniu do reszty

utworów informacji. Podniosła partia klawiszy i towarzyszących im syntezatorów jest reprezentacją osobliwego brzmienia, z którym do czynienia będziemy mieli do końca albumu. Jednak tym, co w przypadku tej kompozycji niewątpliwie wysuwa się na plan pierwszy, jest zdehumanizowany, robotyczny głos (uzyskany poprzez vocoder, podobnie charakterystyczny dla całej płyty), poprzedzający przekroczenie przez bohatera swego portalu bądź innej granicy między wymiarami. Utwór nie posiada standardowego zakończenia, zamiast tego płynnie przechodzi w następną kompozycję, stanowiąc jakoby jej wstęp.

Twilight pod względem instrumentalnym jest adekwatnym, przebojowym rozwinięciem *Prologue*. Trudno dziwić się, dlaczego kompozycja znalazła się w zbiorze singli promujących płytę. Lirycznie zaś utwór opisuje pierwsze odczucia podmiotu lirycznego, dotyczące nieznanego świata. Do fabuły zostaje także umiejętnie wprowadzona droga bohaterowi postać (można domyślać się, że jest to kobieta), która rzekomo miała przenieść go w inną rzeczywistość.

Yours Truly, 2095 uważam za bezsprzecznie najmocniejszy punkt albumu. Powtarzane z każdym refrenem wspólne partie syntezatora oraz wysuwającej się na pierwszy plan, prezentującej potężne wręcz brzmienie gitary basowej, w połą-

czeniu z wokalem wspomagany przez vocoder, kreuje wywołującą niemal wrażenie unikatową atmosferę. Tekst kompozycji jednoznacznie potraktować możemy jako list podmiotu lirycznego do ukochanej, pozostałej w *normalnym* świecie. Jego treść ewidentnie świadczy o tym, iż rzeczywistość otaczająca bohatera wcale nie przypomina mu niczego znanego dotychczas. Zdaje się on być przetłoczony liczbą zaawansowanych, nieznanym mu wynalazków, będących nieodłączną częścią nowej codzienności. Można powiedzieć, że ze względu na poziom technologiczny roku 2095 istoty napotkane w nim nie przypominają mu ludzi.

Zastępujący klawisze w *Ticket to the Moon* fortepian wraz ze świetnym wokalem Jeffa Lynne'a, który bardzo wiarygodnie oddał emocje, towarzyszące *skruszonemu* podczas przedłużającej się rozłąki z wybranką serca podmiotowi lirycznemu, tworzy klimat melancholii, ale i ciepła, czemu sprzyjają także partie skrzypiec oraz tym razem oszczędnie użyte syntezatory. Utwór niewątpliwie stanowi opis doświadczeń, z którymi zmaga się bohater podczas podróży na Księżyc. Według mnie ten postanowił udać się tam, gdyż liczył na odkrycie innej, spokojniejszej rzeczywistości.

W *The Way Life's Meant to Be* szczególną uwagę zwraca wymowa tekstu kompozycji. Wbrew temu, na co wcześniej liczył główny bohater, pobyt na Srebrnym Globie nie przyniósł mu wcale powiewu normalności, lecz zderzenie z kiczowatą miejską architekturą i widok zamieszkujących je bezdusznym robotów. Użyte w utworze instrumentarium, czyli stanowiąca jego kregosłup gitara klasyczna oraz ciepło przygrywający bas wraz z naturalnym wokalem Lynne'a, czynią irytację podmiotu lirycznego, w mojej ocenie autentyczną.

Another Heart Breaks bez wątpienia jest najbardziej enigmatyczną ze wszystkich omawianych kompozycji. Trudno określić znaczenie utworu w kontekście całej historii ze stuprocentową pewnością, według mnie jednak kompozycja stanowi oryginalne przedstawienie snu pogrążonego w tęsknocie bohatera. Będący głównym instrumentalnym budulcem utworu syntezator kreuje genialną kosmiczną atmosferę, świetnie korespondującą z towarzyszącą głównemu bohaterowi niepewnością.

Rain Is Falling jest leniwie progresującą, nieskomplikowaną kompozycją. Wyraźnie wysuwające się na plan pierwszy klawisze stanowią podstawę odczuwalnego nastroju żalu i bezsilności podmiotu lirycznego wobec ekstremalnych warunków atmosferycznych panujących na Ksie-

życu (sic!) i coraz bardziej doskwierającej mu samotności. Interesującym dla całości detalem jest dający się słyszeć, stanowiący wstępny i finałowy fragment utworu, padający deszcz w towarzystwie burzy.

From the End of the World, chociażby ze względu na zawdzięczane wyraźnie dominującą basowi i perkusji szybkie tempo, można zaliczyć niemal do utworów z gatunku muzyki klubowej. W tym miejscu nie sposób nie wspomnieć ponownie o bardzo dobrym występie wokalisty, który przy tej kompozycji szeroko korzystał ze skali swojego głosu, nie szczędząc przy tym ekspresji, niewątpliwie nadającej ekscytacji podmiotu lirycznego (ten jest przekonany, że potrafi komunikować się z ukochaną za pośrednictwem snów) więcej wiarygodności.

The Lights Go Down to bardzo prosta, przyjemna oraz osobliwa kompozycja. Można powiedzieć, że muzycy podczas nagrywania naprawdę dali upust swej kreatywności. W utworze słyszymy bowiem towarzyszące minimalistycznym, fikuśnym partiom gitarowym, zastępujące perkusję uderzenia w szklankę bądź kieliszek. Powyższa oprawa instrumentalna kreuje klimat lekkości i bez troski towarzyszących bohaterowi wraz z myślą o rychłym powrocie z Księżyca.

W *Here Is the News** nie sposób nie zwrócić uwagi na bardzo oryginalne, przebojowe brzmienie (syntezatora?), które mnie przywiodło na myśl zespół Daft Punk. Fakt, iż gatunki muzyki elektronicznej, charakterystyczne dla twórczości zespołów takich jak ten i jemu podobnych w latach 80. dopiero powstawały, ukazuje znaczącą rolę, jaką w tym procesie odegrała ELO. Podobnie do instrumentarium liryczna warstwa kompozycji również *wybiega w przyszłość*. Warstwa liryczna utworu podejmuje bowiem temat przeładowania ludzi, żyjących w XXI wieku, różnymi, często nieistotnymi informacjami. Zwraca także uwagę na stan pędu, w którym pogrążony jest współczesny świat. Uważam, że są to kwestie, które każdy człowiek z roku 2025 powinien poddać refleksji.

W *21st Century Man** bardziej frapujący niż warstwa instrumentalna znów jest tekst kompozycji. Lirycznie utwór stanowi kontynuację *Here Is the News*, gdyż traktuje o brutalnej rzeczywistości XXI wieku, w której mimo tego, że codzienne funkcjonowanie, ze względu na poziom technologiczny jest znacznie ułatwione, a ludziom zapewniona jest niemal wszechobecna wygoda, to *podstawowe* wartości takie jak empatia albo bliskość drugiej osoby są wielu z nich obce.

Hold on Tight stanowi szczęśliwe zakończenie podróży głównego bohatera, przeplatanej stana-

mi ekscytacji i melancholii. Od momentu wylotu z Księżyca dokładne jego losy są nieznane, sądząc jednak po wymowie nieskomplikowanej warstwy lirycznej (*Trzymaj się swoich marzeń*) oraz żywym, prostym instrumentarium (fortepian będący fundamentem utworu przez całe trzy minuty jego trwania wygrywa jedną automatycznie wywołującą uśmiech na twarzy sekwencję), należy domyślać się, iż ten powrócił na Ziemię i odnalazł swoje szczęście.

W tym miejscu pragnę podzielić się jeszcze jedną ciekawostką, związaną z omawianą kompozycją. Otóż w utworze znajduje się zwrotka wyśpiewywana w języku francuskim, czego przyczyny trudno doszukiwać się bez pomocy Internetu. Według jednego z użytkowników Reddita jest ona swoistą dedykacją autora tekstu Jeffa Lynne'a dla mieszkającej we Francji rodziny.

Epilogue stanowi intrygującą formę kłamry kompozycyjnej płyty. Utwór jest bowiem swojego rodzaju mieszanką fragmentów *21st Century Man* oraz *Twilight* (zestawienie obok siebie końca i początku całej historii). Ponadto kompozycja stanowi również nawiązanie do umieszczonego na samym początku albumu *Prologue*, gdyż przechodzący wówczas przez portal do innego

wymiaru główny bohater w tym miejscu robi to ponownie, tym razem trafiając z powrotem do rzeczywistości roku 1981, przekonując się jednocześnie, że wszystko, co widział, było tylko niewinnym wytworem wyobraźni.

Co w takim razie można powiedzieć o *Time*? Jest to naprawdę przemyślany album koncepcyjny, którego problematyka roku 2095 w rzeczywistości pozostaje ponadczasowa. Poruszane przez ELO kwestie, dotyczące szeroko pojętej przyszłości, powinny stać się przedmiotem refleksji nas wszystkich. Awangardowe, zaskakujące brzmienia obecne na płycie, według mnie od '81 roku nie przestały zaskakiwać. Muszę stwierdzić, że album z całą pewnością zniósł próbę czasu.

*Utwory te w mojej ocenie stanowią integralną część historii, jednak w odróżnieniu od innych, nie posuwają dalej czasu akcji.

Antoni Drozd – od września 2023 roku uczeń II LO im. Marii Skłodowskiej-Curie w Gorzowie Wielkopolskim. Od kilku miesięcy z pasji do muzyki zajmuje się pisanem podobnych do powyższej recenzji.

Niekończąca się historia II

Krzysztof T. Dąbrowski

Umierał, a jego gasnący mózg wyświetlał wspomnienia z całego życia.

Może to wszystko było tylko mamidłem, wykreowanym po to, by umierającemu łatwiej było przebrnąć przez trudny moment, a może było w tym coś więcej – przecież równie dobrze mogła to być brama do innej rzeczywistości, do której, niczym pasażer z tonącego okrętu, mogła uciec dusza.

Skąd taki wniosek?

Naukowcy stwierdzili, że w chwili umierania, gdy serce się zatrzyma, mózg potrafi pracować jeszcze przez siedem minut, kiedy to odtwarza wspomnienia. Badania EEG wykazały, że umieranie przypomina medytację, sen i intensywne próby przypomnienia sobie czegoś.

Tak też było i tym razem, przez tych parę chwil przed oczyma przeleciało mu całe życie. Umierał, a jego gasnący mózg wyświetlał wspomnienia z całego życia.

Ale... ten ze wspomnień był przekonany, że żyje naprawdę. Narodzenie się było dlań realnym wydarzeniem, nie zdawał sobie sprawy,

że istnieje w pamięci człowieka, schodzącego ze sceny życia.

Dla niego tych kilka minut, kiedy mózg konającego w zawrotnym tempie odtwarzał dawne wydarzenia, było, trwającym przez dziesiątki lat, prawdziwym życiem.

Na sekundę wspomnień umierającego przypadały dwa miesiące życia żyjącego.

Dorastał wśród ludzi na różny sposób wpływających na jego życie, nie wiedząc, że tak naprawdę są tylko iluzją, bo świat wykreowany został tylko i wyłącznie dla niego i tylko on był w nim prawdziwy. Ale czy na pewno taki był? Lata mijały, a on dorastał, przeżywając wszystko tak samo jak jego kreator, ale nastał dzień, kiedy wygłupiając się z koleżanką doznał silnego wrażenia, że już to przeżył, że ta chwila kiedyś się wydarzyła. Odgonił od siebie tę myśl uznając, że to déjà vu, chwilowa umysłowa czkawka. Czytał kiedyś o tym zjawisku i wiedział, że występuje ono na skutek chwilowego zakłócenia pracy mózgu i że nie ma się czym przejmować. Ale co innego czytać, a co innego doświadczyć. Gdyby wiedział,



Anna Kowalczyńska

że istnieje we wspomnieniach człowieka, który już to przeżył, zdałby sobie sprawę, że nie jest to żadne déjà vu, bo to rzeczywiście kiedyś się już wydarzyło.

Od tego czasu coraz częściej zdarzały mu się takie sytuacje, jednak nie na tyle często, by zakłócić jego funkcjonowanie. Korzystał więc z życia, bawił się, poznawał je, aż w końcu się zakochał. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że poznając Patrycję miał wrażenie, jakby znał ją od zawsze...

I tak też było, umierający przeżył z nią większość życia, ale dla niego było to coś nowego.

Mijały dni, tygodnie, miesiące i po paru latach dojrzał do tego, by poprosić ją o rękę. Wtedy to w jego głowie pojawiło się silne przeświadczenie, że popełni fatalny błąd, że w parę tygodni po ślubie wszystko się zmieni.

Odrzucił ostrzeżenie intuicji, uznając je za wyraz jakiegoś głupiego lęku, związanego z podejmowaniem znaczących życiowych decyzji. Nie wiedział, że umierający był z tą kobietą przez wiele lat nieszczęśliwy i nieraz żałował, że się z nią ożenił, ale nie był w stanie nic z tym zrobić, stał się ofiarą toksycznego związku.

Żyjący we wspomnieniach nie miał pojęcia, że właśnie dostał ostrzeżenie od podświadomości umierającego. Wyjechał więc z wybranką serca na egzotyczne wakacje, gdzie się jej oświadczył. Nie spieszyli się jednak ze ślubem, chcąc najpierw skończyć studia i zarobić trochę pieniędzy, by nie brać kredytu. Nim na poważnie zaczęli robić ślubne plany, głos intuicji przypomniał mu o sobie jeszcze kilka razy, raz i drugi go nie posłuchał i gorzko potem tego żałował. Postanowił więc, że choć nie rozumie tego zjawiska, to za trzecim razem postąpi zgodnie z zaleceniami, wypływającymi z jego wnętrza.

Nie wiedział, czy był to Anioł Stróż czy jakieś niezbadane moce umysłu, ale dzięki temu uniknął solidnych problemów, a na dodatek w dość krótkim czasie zarobił bardzo duże pieniądze. W tej sytuacji postanowił przyspieszyć ślub z Patrycją. A jednak głos znowu się odezwał i ku jego rozpaczcy ponownie go ostrzegł przed zawieraniem ślubu z tą kobietą.

Minęło wiele bezsennych nocy i dni, podczas których chodził jak struty, nim w końcu, z bólem serca, podjął najtrudniejszą w swym życiu decyzję – ślubu nie będzie, czas się rozstać. Zarówno on, jak i jego bliscy nieraz zastanawiali się, co mu odbiło.

Długo zadrećczał się wątpliwościami – jak by nie było, w chwili rozstania był szczęśliwy i na zabój zakochany. Każdej samotnej nocy katował

się wspomnieniami szczęśliwych chwil i nieraz chciał wstać następnego dnia i pobiec do najbliższej kwaciarni, by z bukietem w zębach błagać ją na kolanach o wybaczenie i powrót do tego, co było. Parę razy nawet obserwował ją z ukrycia, podejrzewając, że zaczyna wariować, bo kto w jego sytuacji niszczyłby sobie życie, zadając obu stronom tyle cierpienia.

Minęło wiele miesięcy i znowu się zakochał, choć tym razem nie miał już wrażenia, jakby znał nową wybrankę serca od zawsze. Była mu kimś zupełnie obcym, do kogo przyciągała go aura tajemniczości.

Po pierwszych kilku randkach mimo wszystko postanowił wsłuchać się w głos intuicji, ale ów milczał, bo dla umierającego ta kobieta też była kimś obcym, kimś, kogo w swym życiu nigdy nie poznał, ale gasnący mózg konającego tego nie wiedział i przyjął zmianę jako naturalny ciąg dalszy wspomnień; zupełnie jakby odbierał transmisję z tego świata.

Ten, który funkcjonował w majakach branych za wspomnienia, po dwóch latach szczęśliwego związku postanowił się ożenić z nową ukochaną. Zrobił to nie wiedząc, że z Mileną będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż byłby z Patrycją.

Nowe życie potoczyło się inaczej, a tak zwany głos intuicji zamilkł na zawsze. Wszystko było teraz inne i nie pokrywało się ze wspomnieniami umierającego. Jego żyjący odpowiednik przeżył życie, którego sobie nie życzył – smutne, pełne zgryzot i nieszczęść, aż w końcu dotarł do kresu istnienia.

Umierał, a jego gasnący mózg wyświetlał wspomnienia z całego życia. Ale... ten ze wspomnień był przekonany, że żyje naprawdę. Narodzenie się było dlań realnym wydarzeniem, nie zdawał sobie sprawy, że istnieje w pamięci człowieka, schodzącego ze sceny życia. Dla niego tych kilka minut, kiedy mózg konającego odtworzał w zawrotnym tempie dawne wydarzenia, było trwającym przez dziesiątki lat prawdziwym życiem. Pytaniem jednak pozostawało to, czy był tylko majakiem, wspomnieniem czy też realną istotą ludzką, w której zamieszkała dusza jego samego, umierającego już po wielokroć, a może nawet nieskończoną liczbę razy?

A jeśli był znudzonym Bogiem, chcącym doświadczać wielu dostępnych wariantów jednego życia?...

Krzysztof T. Dąbrowski – pochodzący z Łodzi pisarz i scenarzysta. Jego książki publikowane były do tej pory w Polsce, USA, Kanadzie, Hiszpanii, Indiach i w Niemczech.



GORCON

Gorzowski Konwent Fantastyki

9-10 sierpnia 2025

II LO im. Marii Skłodowskiej-Curie
ul. Przemysłowa 22, Gorzów Wielkopolski

Autorka plakatu: *Weronika Leszczyńska* - pochodząca z Gorzowa Wielkopolskiego graficzka i ilustratorka. Ukończyła Uniwersytet SWPS na kierunku grafika. W swoich pracach inspirowała się przyrodą, mitologią oraz literaturą.



**GORZÓW
WIELKOPOLSKI**

**2025
ROK
KULTURY
W GORZOWIE**

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wielkopolski


TRZYNASTY-SCHRON.NET

Wspierają nas:




**Ostatnia
Tawerna**
ostatniatawerna.pl


FAHRENHEIT
WWW.FAHRENHEIT.NET.PL

MAGAZYN
BIAŁY KRUK

GORZÓW

#StądJestem

 przystan

www.gorzow.pl

 www.GORZOWpl

 [gorzow_przystan](https://www.instagram.com/gorzow_przystan)



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie NOVUM

ul. Gwiaździsta 12/88 Gorzów Wielkopolski.

E-mail: landsbergon@gmail.com

Tel. 669-847-078

Red. naczelny - Mariusz Sobkowiak

Zastępca red. naczelnego - Kamil Kwiatkowski

Sekretarz redakcji - Aleksandra Sobkowiak

Korekta - Danuta Gołąbek

Wszystkie numery LandsbergONu w wersji cyfrowej dostępne na www.landsbergon.pl

Redaktorzy merytoryczni - Sebastian Górny,

Piotr Jakubowski, Paweł Karolczuk.

Skład - Aleksandra Sobkowiak

Druk - drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz

Autorka okładki: Kamila Zygmunt - pochodzi z małej wioski w okolicach Gorzowa Wielkopolskiego. Tu uczyła się w Liceum Plastycznym, a potem na Akademii Sztuki w Szczecinie, by później wrócić do Gorzowa i tu prowadzić swoją działalność. Zawodowo zajmuje się głównie identyfikacjami wizualnymi i prowadzeniem tożsamości marek.

Wydanie: Gorzów Wielkopolski, 01.06.2025 r., **Numer ISSN 2657-5280** www.landsbergon.pl